Nr. 35. We Lwowie dnia 27. Sierpnia 1899. Rok 7

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

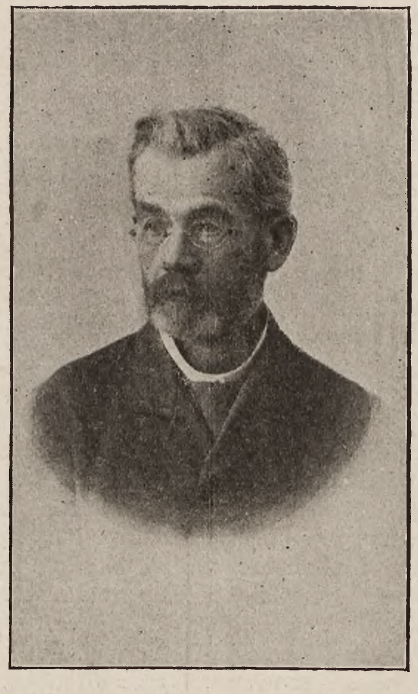
2)

Władysław Kozłowski.

O działalności literackiej ś. p. Władysława ze stanowiska filozofji, obiecał dać krótki referat profesor Skórski, z mojej strony podam tu tylko szkic pobieżny właściwości fizycznych i duchowych Kozłowskiego, tak jak się one przedstawiały nam, przyjaciołom jego, cośmy go znali bliżej i dokładniej.

Władysław Kozłowski był wzrostu średniego, budowy ciała wątłej, o systemie mięśni słabo rozwiniętym; w życiu swojem nie zdawał się mieć nigdy skłonności do tycia, ale zresztą nigdy nie miał i dostatecznych środków dla wywołania stanu takiego. Podczas pobytu na Litwie, przybyło mu na wadze w ciągu dwóch miesięcy 8 funtów wagi rossyjskiej, więc przypuszczać byłoby można, że lepsze odżywianie przyniosłoby skutek pożądny. Siła mięśni, pomimo słabego ich rozwoju była dość znaczna, przechadzki piesze odbywał dalekie, i te go wcale nie męczyły. Bawiąc w Szczawnicy. zwiedzał pieszo nawet dalsze, nie czując wcale znużenia, okolice, ale na góry nie mógł nigdy wstępować, bo dostawał zawrotu głowy, tak np. nie mógł wejść nawet na kopiec Unji, na Wysokim Zamku we Lwowie.

Głowę miał Wł. stosunkowo małą, krótką, czoło wysokie, twarz wązką, kości licowe mało wystające, podbródek zeszczuplony. Nos mierny, prosty, usta pełne. Włosy na głowie gęste, bardzo ciemne. Brwi szerokie, małe, czarne, rzęsy długie, czarne, zarost twarzy obfity, ciemny. Oczy za młodu miał niebieskie, później szare. Kolor włosów do lat 10 był światło blond, dopiero później włosy ciemnieć zaczęły, aż doszły do barwy prawie czarnej. Wyraz twarzy był sympatyczny, poważny, rozumny, łagodny.



Z fotografji zdjętej we Lwowie w r. 1890.

Wielce charakterystyczną była budowa szczęk, a mianowicie nosiły one cechę, jaką amerykańscy antropologowie przypisują człowiekowi przyszłości, były one krótkie, prostozębe (Orthognath), a całkowita ilość zębów wynosiła tylko 28, brakowało więc tak zwanych zębów mądrości, przytem zęby były zdrowe, dobrze rozwinięte i aż do roku 1898 nie znał Władysław co znaczy ból zębów, dopiero w roku przeszłym zachorował po raz pierwszy, musiał ząb trzonowy bolący wyrwać, co uskutecznione zostało z niezwykłym wysiłkiem, bo niezmiernie mocno był on osadzony w zębodole szczęki.

Oprócz dolegliwości, jakie mu sprawiały choroby chroniczne oczu, cierpiał jeszcze Władysław na niesprawność w trawieniu; to cierpienie nabyte skutkiem niepomyślnych warunków życia, stało się głównym powodem jego śmierci.

Umysł ś. p. Władysława Kozłowskiego był na wskróś filozoficzny, dążył on do poznania

prawdy, do wykrycia stosunków, istniejących w badanym świecie i do wyprowadzenia z nich ogólnych wniosków, naukami przyrodniczemi zajmował się pilnie. Jako filozof był pozytywistą *) czyli, że kierunek jego myślenia oparty był na podstawach, zdobytych drogą doświadczenia, a więc zawsze sprawdzalnych. Wszystko co człowiek zdobył i zdobędzie w rozwoju swoim umysłowym, zawdzięcza i zawdzięczać będzie pozytywnym pracom swoim, a nie doktrynerskim dociekaniom, gdzie się szuka prawdy nie w naturze, ale w książkach, a także i niemetafizycznym spekulacjom, zapomocą których starają się poznać byt, mający jakoby istnieć poza granicami poznawalnego świata.

Pozytywizm jest jedyną, naukową formą myślenia — powiadał zwykle Kozłowski, on nie jest i nie może być wrogiem wiary, gdyż inną jest ich dziedzina, inne ich cele i środki. Niechaj wiara będzie tem, czem być powinna, niechaj pozostaje w sferze uczuć, niechaj rządzi tam, gdzie się rozciąga państwo serca, a z pewnością nauka pozytywna w drogę jej nie wejdzie, ona ma swoje państwo — państwo rozumu, zbyt obszerne i zbyt odległe od królestwa serca, ażeby miała chęć i czas w niem się rozporządzać. Takiemi były ogólnie biorąc filozofja, zasady i poglądy ś. p. Władysława. Co do temperamentu jego, to był on porywczy, lecz zwykle mitygowany rozwagą i rozumem. Charakter miał Władysław, jak się to mówi, ze stali, nigdy i nigdzie, on się nie ugiął, nigdzie nie skrzywił; gdy wygłaszał zdanie swoje, zwykle głęboko pomyślane, to nie brał pod uwagę jakichkolwiek względów ubocznych, głównie chodziło mu wszędzie i zawsze o prawdę.

Nigdy względy oportunistyczne nie wpłynęły na jego przekonanie, nigdy pochlebstwo, blaga, lub kłamstwo nie skalało ust jego, nigdy myśl nieszlachetna nie powstała w jego głowie, a tem mniej mógł się on dopuścić czynu, niezgodnego z wyznawanemi zasadami. Jeżeli mamy prawo kogokolwiek z naszego społeczeństwa nazwać człowiekiem idealnej szlachetności, idealnie uczciwym i zacnym — to nazwa ta należy się bez zaprzeczenia ś. p. Władysławowi Kozłowskiemu.

On był wzorem szlachetności serca, nieskazitelności charakteru i niezłomności woli, czyli posiadał te cnoty, które stanowią największą zaletę człowieka.

Dr. B. Dybowski.

*) Pozytywizm, skutkiem niezrozumienia jego, był zawsze w niełasce u kleru; jeden ze szczegółów, dotyczących tej niełaski odnośnie do Kozłowskiego, opowiadał mi ś. p. Władysław.

Gdy z rozporządzenia władzy uniwersyteckiej, studenci musieli się spowiadać co roku, przed wielkanocą, poszedł do spowiedzi i Kozłowski. Ksiądz go zapytał: „a czytałeś „Comte'a“ — czytałem odpowiedział, „a wiesz ty, że to grzech“, „nie sądzę, ażeby to mogło być grzechem“, „co! chcesz być mędrszym od księdza, nie dam ci rozgrzeszenia“. Myśl, że świecki człowiek może być mędrszym od duchownego pasterza, prześladuje, jak manja wielkości, wszystkie próżne głowy i puste serca. Owe przekonanie, że akt wyświęcenia zastąpić może wszelką wiedzę pozytywną, jest obłędem atawistyczno-społecznym wszystkich wyznań bez wyjątku.

Szkice z nad Niewiaży.

3)

Wkrótce też w 3 powiatach żmudzkich założono 8 szkół parafialnych w myśl ustawy z r. 1828, których celem było »przeciwdziałanie szkołom parafialnym katolickim« — jak mówi księga jubileuszowa. Dodano tu, że w r. 1837 gimazjum z Kroż przeniesione do Kowna, w roku zaś 1843 zniesiono ostatnią szkołę zakonną, utrzymywaną przez OO. Bernardynów w Rosieniach; w r. 1845 do Szawel przeniesiono gimnazjum ze Swisłoczy, umieszczając je w domu wzniesionym na koszt szlachty. Nawiasem warto podkreślić, że szlachta, zebrana na sejmikach, prosiła o wprowadzenie języka polskiego jako przedmiotu obowiązkowego, ale za to podanie kazano marszałków powiatowych uwięzić na 7 dni.

W r. 1832 zapadła uchwała o usunięciu języka polskiego z życia publicznego: usunięto go z administracji i sądownictwa, z magistratów i obrad sejmików szlacheckich, ale w tych ostatnich faktycznie utrzymał się on aż do 1863 r. Wówczas też pomyślano o zniesieniu Statutu litewskiego, ale odłożono tę reformę do ukończenia kodyfikacji praw rosyjskich, wówczas będącej na ukończeniu; w r. 1833 wyszedł Zbiór praw cesarstwa rosyjskiego w 15-tu grubych tomach, atoli sprawa przewlekła się jeszcze kilka lat: dopiero 7 lipca (25 czerwca) 1840 r. Statut litewski przestał obowiązywać... W zamian jego wprowadzono rosyjskie prawo cywilne, niejasne, pełne sprzeczności i niedomówień. Tę reformę przyjęto

śród milczenia grobowego, tylko jeden śmiałek hr. Henryk Rzewuski, tak osławiony później reakcjonista, ośmielił się »w imieniu stanów portugalskich podziękować N. Panu za nadanie nowych praw«.*) Rozumie się — zniesienie Statutu i dawnego postępowania sądowego wywołało straszne nadużycia, o których dziś jeszcze opowiadają ze zgrozą: przekupstwo i sprzedajność przeszły wszelkie granice możliwe; za pieniądze można było zrobić wszystko: można było usprawiedliwić mordercę, skazać zaś niewinnego. Zresztą zapanował straszny zamęt i chaos, bo nikt nigdy dobrze nie wiedział, do kompetencji jakiego sądu należy pewna sprawa poszczególna, a instancyj sądowych było kilka. Sędziowie byli w znacznej części obieralni przez szlachtę na sejmikach, ale znaczna ich część wyrosła po wypadkach 1831 r. pozbawiona światła, nauki i wychowania o szerszych podstawach, wprost zdziczała moralnie, a zresztą nie znając ani prawa, ani języka rosyjskiego była w zupełnej zależności od sekretarza i kancelarji, składającej się z ludzi zwykle bez czci i wiary. Wówczas publicznie sprzedawano sprawiedliwość; dotąd krążą podania, jak drobni urzędnicy, pobierający bardzo skromną gażę, umieli żyć dobrze i wystawnie, wyposażać córki i dorabiać się funduszów znacznych. Rozumie się byli ludzie, którzy walczyli z tem złem, ale walczyć można było tylko bronią satyry; to też do dnia dzisiejszego dochowały się piosnki miejscowego Juwenalisa n. p. jedne zaczynające się od wyrazów:

»Ach, nieszczęśliwy ten powiat upicki! Sędziami zostali Towgin i Szwojnicki«. Wogóle były to mroczne, ciężkie czasy!

Równocześnie też odbywała się reforma administracyjna: rządowi bardzo się nie podobała drobna szlachta zagonowa, której u nas było bardzo dużo, to też kazano jej wylegitymować się i udowodnić swoje pochodzenie szlacheckie. Powstał okropny gwałt, albowiem stracić wówczas szlachectwo — znaczyło to stracić godność ludzką: nieszlachcic nie miał wtedy praw żadnych, a był z duszą i z ciałem oddany w ręce władz administracyjnych, policyjnych i samowolnych... Bez wątpienia ogromna większość rzeczywiście posiadała prawa szlacheckie, ale z powodu zamieszek krajowych, wojen i rewolucji oraz pożarów i innych wypadków podobnych dużo archiwów znikło bez śladu, dużo dokumentów przepadło i t. d. Prawda — wielcy panowie, jak ks. Ogiński, hr. Tyszkiewicz, ordynat i inni ludzie zamożni szczodrze pomagali braci szlachcie, nie krępując się niczem; to samo robiły rodziny, które posiadały dokumenty w porządku... T. z. Zebrania szlacheckie, których celem było stwierdzenie legitymacji, zachowywały się bardzo, bardzo pobłażliwie, ale wkrótce nakazano, by legitymacje szlacheckie ostatecznie zatwierdzał t. z. Departament Heroldji senatu w Petersburgu, a tu już było znacznie trudniej... W ten sposób kilkadziesiąt tysięcy braci szlachty zagonowej utraciło swe prawa; nie schłopiono ich jednak odrazu, owszem stworzono dla nich osobną komórkę stanową t. z. jednodworców. Zachowali oni wolność osobistą i prawo własności ziemskiej, ale tylko do czasu. Już w roku 1841 car najmiłościwiej rozkazać raczył jednodworców, zamieszkałych w dobrach państwowych, zaliczyć w poczet t. z. włościan państwowych, stanowiących własność państwa, jak zwykli poddani stanowili własność prywatną osób stanu szlacheckiego t. j. pozbawiono ich wolności osobistej, zamieniając w niewolników poddanych; w r. 1846 rozciągnięto na nich zupełną kompetencję miejscowych władz ministerstwa dóbr państwa, oddając duszę i ciało samowoli urzędników. Prawo z r. 1855 ostatecznie określiło i uregulowało ich stosunki, zachowując im prywatną własność ziemską, posiadaną uprzednio. Prawa z dnia 24 (12) stycznia 1866 r. i z 15 (3) marca 1867 r. zlały ich ostatecznie z włościanami. Ilu było jednodworców? Tego dokładnie nie wiem, ale w listach Izby skarbowej z r. 1841 znalazłem 22.704 mężczyzn.

Nie mniej też rząd postarał się o zniesienie osobnej klasy ludzi t. z. ludzi wolnych; ta kategorja nie mogła w żaden sposób pomieścić się w głowach administratorów rosyjskich, którzy nie mogli pojąć chłopa wolnego, nienależącego ani do pana, ani do państwa. Byli to chłopi wolni, nieposiadający gruntów, a podlegający juryzdykcji patrymonialnej, ale z prawem wolnej apelacji do grodu; dzierżawili oni grunty od szlachciców na mocy umów dobrowolnych, mając prawo zerwać je w każdej chwili w razie naruszenia. W roku 1792 naliczono ich w b. ks. Żmudzkiem przeszło 30.000 mężczyzn; w 90 lat potem okazało się 5.800 rodzin wolnych ludzi. Już w r. 1795 w czasie pierwszego spisu ludności kazano zapisać wolnych ludzi w tych dobrach, w których mieszkali oni, stwarzając dla nich osobną kategorję ludzi t. z. wolno-skazkowych; zachowali oni wolność osobistą. Dawne dokumenty prawne znały ich bardzo dobrze, nazywając ludźmi wolnymi lub pochożymi, albo też najczęściej wolnymi ludźmi Jeho Korolewskoj Miłosti, przeciwstawiając ich zawsze ojczycom i ludziom ciahłym t. j. poddanym. Ludzie wolni posługiwali się przeważnie mową polską i byli czemś pośredniem pomiędzy szlachtą zagonową a włościaństwem; nie podobało się to, zatem postanowiono znieść tę warstwę ludności miejscowej.

W r. 1840 nakazano ludzi wolnych, zamieszkałych w dobrach państwowych, zapisać w poczet włościan państwowych, przez co utracili oni wolność osobistą, mieszkających zaś w miastach, w poczet mieszczan; tych pierwszych w r. 1843 okazało się 3562 mężczyzn. Kwestję ludzi wol-

*) Szlachta ruska gub. Połtawskiej i Czernichowskiej żądała pozostawienia Statutu; Mikołaj pozostawił jej statutowe prawo familijne.

nych rozwiązano dopiero w r. 1882 wskutek inicjatywy ks. Ogińskiego; kwestję tę rozwiązano uwłaszczeniem, ale dotąd jeszcze ustawa nie została wykonana całkowicie, długa to a ciekawa historja, tak charakterystyczna dla polityki rosyjskiej, ale opowiem ją w miejscu właściwem, teraz zaś wracam do rzeczy.

Teraz skreślę słów kilka o próbach zrosyjszczenia Żydów, bo i na tę okoliczność rząd zwrócił uwagę, mniemając, że w nich znajdzie sprzymierzeńców gorliwych. W r. 1804 wydano osobną ustawę o Żydach, ściśle określającą ich prawa, przywileje i obowiązki; chciano koniecznie usunąć Żydów ze wsi iześrodkować w miastach i miasteczkach: w tym celu uchwalono, by do 13 (1) stycznia 1808 r. wszyscy Żydzi przenieśli się do miast i miasteczek i od dnia tego na zawsze zaprzestali szynkować... Prawo to pozostało zawsze literą martwą... Chciano też koniecznie oduczyć Żydów od kramarstwa i szwarcownictwa, którem kierowali bardzo długo: w r. 1825 ustanowiono t. z. pas graniczny, szeroki na 53,325 km., z którego wszyscy Żydzi obowiązani byli wynieść się; dano im kilka lat czasu na sprzedaż mienia nieruchomego. Prawo to jednak pozostało literą martwą; w instrukcji z dnia 26 (14) marca 1838 r. komisarzowi do spraw granicznych z Prusami polecono pilnie przestrzegać wykonania tego prawa. Ale i to pozostało na papierze; nareszcie pierwszego maja (20) kwietnia 1843 roku car rozkazał wysiedlić wszystkich Żydów z pasa pogranicznego, dając dwuletni termin na wysprzedanie się. Ten rozkaz najwyższy nie został jednak wykonany: ze sprawy o tem, znajdującej się w archiwum w Kownie, księga jubileuszowa przytacza, że wypadało wysiedlić 563 rodziny żydowskie, co pociągnęłoby za sobą 2,793.000 rub. wydatków, z tego względu liczba rodzin została zredukowaną do 143 najbardziej podejrzanych w przemytnictwie; faktycznie jednak i te rodziny pozostały w miejscu swego zamieszkania, albowiem niezbędne wiadomości o nich nie były jeszcze zebrane w r. 1858, gdy zapadła nowa uchwała o Żydach w pasie pogranicznym. Faktycznie całego tego prawodawstwa był wynik jeden: wszystko pozostało po staremu.

Ten sam rezultat spotkał wszelkie usiłowania rządu rosyjskiego, których celem było osadzenie Żydów na roli i przekształcenie ich w pracowników wytwórczych z handlarzy, szynkarzy, przemytników i t. d.; usiłowania te zawiodły lubo kosztowały niemało pieniędzy, niemało pracy a dużo, bardzo dużo krwi żydowskiej, boć urzędnicy ministerstwa dóbr państwa uczyli ich gospodarstwa, ładu, porządku i czystości rózgami; mówią, że niejeden gaik brzozowy został zużyty na przyzwyczajenie Żydów do rolnictwa. Bywało zwykle: przyjeżdża urzędnik do wsi kolonistów żydowskich, ogląda chaty; brudno, nieporządek, bezład w gospodarstwie kobiecem — żydówce gospodyni — rózgi. To samo gospodarzom za złe prowadzenie gospodarstwa. Żydzi koloniści uciekali, ale ucieczkę tę prawo uważało za ciężkie przestępstwo, karane ciężkiem więzieniem z nałożeniem kajdan. Ostatecznie uznano Żydów za niezdatnych do rolnictwa i znowu postanowiono skoncentrować ich w miastach i miasteczkach. Oto krótki przebieg tej sprawy: 7 stycznia 1845 r. (26 grudnia 1844 r.) zapadła uchwała o Żydach rolnikach, zezwalająca im zapisywać się w stan rolniczy w miejscach ich stałego osiedlenia,*) nabywać i dzierżawić grunty, osiedlać się pojedynczo lub całemi gromadami, otrzymywać od rządu 175 rub. zapomogi na rodzinę (w razie osiedlenia się na ziemiach skarbowych, które rozdawano Żydom darmo w ilości około 9 hekt. na osobę) oraz ulgi podatkowe i zwolnienie na lat 25 od strasznej dla Żydów służby wojskowej. Za dobre prowadzenie gospodarstwa obiecano Żydom kolonistom nagrody rozmaite; dozwolono im też w swoich kolonjach bezpłatnie prowadzić handel i wszelkie rzemiosła, zakazano tylko surowo szynkarstwa. By ułatwić kredyt z funduszów rządowych założono kasy pożyczkowe. Nawet Żydom, osiedlającym się na ziemiach właścicieli prywatnych udzielono prawie takich samych przywilejów, jak osiedlonym na ziemiach skarbowych, tylko wydawano zapomogę mniejszą, a mianowicie: 85 rub. Wszystkie te jednak usiłowania nie doprowadziły do skutków pożądanych, wszakże po nich pozostały niejakie ślady: w pow. poniewiezkim około miasteczka Linkowa istnieje wieś wyłącznie żydowska z 20 chat. Żydzi koloniści spotykają się też w pow. Nowo-Aleksandrowskim. O gospodarstwie żydowskiem na roli nic szczególnego nie da się powiedzieć: jest ono zwykłem, jak u naszych włościan. Ale oryginalnie widzieć oracza pejsatego, bo Żydzi zamieszkali po wsiach, zwłaszcza starzy, zachowali dotąd jeszcze pejsy i strój dawny. Dziś na to już nie zwraca się uwagi, chociaż zakaz prawny istnieje, ale dawniej pejsy strzyżono gwałtem, dodając często chłostę. To samo spotykało niekiedy nawet kobiety za golenie głów i noszenie peruk! Działo się to na mocy rozkazów cara, który najmiłościwiej rozkazać raczył w r. 1850 wzbronić Żydom nosić strój dawny i pejsy, a Żydówkom w dniu 24 (12) kwietnia 1851 r. — golić głowy; zresztą miejscowy generał-gubernator miał prawo za złożeniem opłaty osobnej dozwalać przeszło 60-letnim Żydom donaszać odzież starą. Wielki samowładca północy, cesarz Wszechrosji, przegrał jednak tę walkę, bo strój żydowski pozostał bez zmiany, ale co do pejsów zwyciężył! Nawiasem nadmieniam, że w czasie obchodu stuletniej rocznicy urodzenia Mikołaja I. w r. 1896 rabin kowieński w mowie, wygłoszonej w synagodze w języku urzędowym, błogosławił pamięć zmarłego monar-

*) Miejsce stałego osiedlenia Żydów — to miejscowości, w których im wolno mieszkać; są to b. ziemie Rzeczpospolitej, t. z. Nowo-Rosja i Mało-Rosja, oraz Kurlandja i kilka innych miejscowości w Liwonji.

chy za to dobro i miłość, którą on okazywał narodowi żydowskiemu. Mowa ta była wydrukowaną w gazecie urzędowej. Szkoda, że wielki satyryk rosyjski Szczedryn (Sałtykow), już nie żył, a z przesłanej mu kopji mowy zrobiłby coś w rodzaju obrazka konstytucji dla niedźwiedzi!

Na zakończenie czasów Mikołaja parę słów o jego działalności w zakresie geografji. Przedewszystkiem muszę tu podkreślić, że on pierwszy wpadł na myśl rusyfikowania nazw lub przerabiania ich, by zatrzeć ślady przeszłości dawnej. Oto już w r. 1838 pow. Brasławski kazano nazywać urzędowo Nowo-Aleksandrowskim odpowiednio do nazwy miasta Nowo-Aleksandrowsk, w które przekształcono miasteczko Pojeziorosy. Taki sam los spotkał w r. 1840 pow. Upicki, który nazwany został Poniewiezkim. W r. 1843 z 7 powiatów ówczesnej gub. Wileńskiej, utworzono gubernję kowieńską, którą uroczyście otwarto 13 (1) lipca 1843 r., ale prawo zapadło 30 (18) grudnia 1842 r. W skład dzisiejszej gub. kowieńskiej wchodzi dawne ks. Żmudzkie bez zaniemeńskiej jego części, oraz części województw Grodzkiego i Wileńskiego.

Takim był w głównych zarysach przebieg wypadków za rządów Mikołaja I. Tu dodać należy rysy charakterystyczne jego polityki, dławiącej i duszącej wszystko, co tylko miało odwagę poruszyć się lub myśleć, polityki dławiącej myśl i słowo, dławiącej wszelki ruch społeczny i umysłowy, demoralizację szerzoną przez urzędową literaturę i szkolnictwo, sprzedajność, niesumienność i głupotę administracji i sądownictwa, złożonych w $^4/_5$ z Polaków miejscowych, a otrzymamy taki obrazek i taką atmosferę, w której podlała i nikczemniała szlachta i warstwa wyższa. Szlachcie materjalnie dobrze się działo, mogła ona obdzierać nietylko chłopów poddanych, ale nawet i skarbowych, nawet mogła i robiła to — ujarzmiać wolnych ludzi. Mówią, że w tych czasach wobec sprzedajności wszelkich władz nie było można ani myśleć o dochodzeniu swoich praw przeciwko panom takim, jak ks. Ogiński, Ireneusz hr. Tyszkiewicz, hr. Tyzenhaus i t. d.; nawet Karp, chudopachołek w porównaniu z nimi, mógł bezkarnie i bezprawnie wysiedlić z miasteczka Nowe-Miasto — Karaitów, czynszowników, osadzonych tam za czasów Radziwiłłowskich. Bezprawie to uszło. Wogóle słuszną charakterystykę rządów Mikołaja dał autor Free Russia, mówiąc: »przy tym systemie car wszystkiem, naród — niczem, arystokracja — motłochem dworskim, kościół — departamentem policji wykonawczej, armja — zorganizowaną hordą, okradaną i bitą przez swych oficerów i dowódców, magistratura — zorganizowanem stowarzyszeniem występnem w celu rabunku państwa i ludu, naród — tłumem niewolników!« Charakterystyka dosadna, a w zarysach ogólnych słuszna nawet dzisiaj!

(C. d. n.)

J. Syrokomla.

Gdzie nas niema?

(Kartki z podróżnego dziennika.)

...Było to w skwarny dzień sierpniowy 1891 r. W misji urzędowej spieszyłem pociągiem popołudniowym z Aleksandrji do Suezu, by ztąd jaką bądź drogą dostać się do kwarantanny *El-Tor* na półwyspie Synai, gdzie pielgrzymi bośniaccy wracający z Mekki z powodu cholery zatrzymani zostali. Ze względów oszczędnościowych wybrałem się z żoną II-gą klasą, niepomny na to, że Europejczyk na wschodzie tylko I klasą jeździć powinien. Jechaliśmy na razie sami; kubeł z lodem i oziębione piwo wraz z przyjemnym przewiewem dozwalał zapomnieć o spiekocie. Mijamy czekoladowy brudny Nil i zdążamy do stacji Tanta. Tam w sierpniu wielkie odbywają się jarmarki. Zjeżdża się świat z całej Arabji, z Sudanu, Persji i Indyj, pełno tam pornologicznych tingl-tanglów, arabskich »fantazyj«, cyrków i wyścigów, na których oglądanie dziś ani czasu, ani ochoty nie mam. Pociąg zatrzymuje się 15 minut, kupiło się trochę bananów i daktyli, aż tu naraz nawaliło się do wagonu z 20-tu Arabów. Jeżeli kazimierzowski żyd wyziewami swemi niemile drażni nerwy powonienia, to Egipcjanin i Arab osobliwie w dzień skwarny porównać się da jedynie z maszyną Tallarda. Proszę sobie wyobrazić przyjemność dalszej podróży. Zgnieceni jak transport bydła na ś. p. koleji Karola Ludwika, prawie odurzeni wszelakiego rodzaju zapachami i wyziewami, zagłuszeni wrzawą żywo gestykulujących towarzyszy podróży, dojeżdżamy do stacji Zaga-

zig, skąd pociąg oddziela się w kierunku Kaira, podczas gdy nasz pociąg przeszło godzinę stoi. Porozumiałem się z żoną, by bilety za dopłatą przemienić na I. klasę i udaję się do naczelnika stacji spełniającego zarazem obowiązki kasjera. Tłumaczę mu rzecz po francusku, on kiwa głową i macha rękoma, tłumaczę po włosku, to samo, żona odzywa się do niego po angielsku, bestja nie rozumie nic, gadam po niemiecku, bez skutku, rozmawiam na migi, pokazując mu bilety II. klasy i przeliczone pieniądze za należną dopłatę, on gestykuluje, ale widocznie nie rozumie nas. Zaglądam w podręcznik arabsko-turecki, ale tam rozmówek z naczelnikami stacji niema, więc rowścieklony, w miłej perspektywie dalszej podróży ze śmierdzącymi Arabami, pożegnawszy się z myślą przyjemniejszego spędzenia dalszej podróży, zapominając, że nie jestem w kraju, zaczynam po krakowsku wymyślać.

Wymyślam od krwi psiej, od pokrewieństwa z rodem psim, od złodziejów, draniów etc., naraz odczuwam, że mię ktoś z tyłu za ramię chwyta. Odwracam się wściekły i naraz zgłupiałem. Stoi przedemną Arab z czarną brodą, biało odziany, i w te odzywa się słowa: »Proszę pana, co panu potrzeba, to ja załatwię«. Powiadam zgłupiałem! Parę set mil od kraju, Arab mówiący po polsku, to chyba złudzenie! Szybko jednak przychodzę do siebie, tłumaczę rodakowi o co chodzi, daję mu pieniądze, usuwam się trochę na bok, oczyma szukając żony, która zwyczajem babskim pogodziwszy się z losem odeszła za zakupnem owoców. Naraz zjawia się mój Arab-Polak, przynosi mi bilety I. klasy do Suezu, oddaje nawet piaster zadużo wyłożony, więc chwytam go za rękę i pytam »zkądżeście szanowny rodaku?« Nowy znajomy odwiódł mię na stronę i cichym głosem powiada: »Proszę pana, ja jestem żyd z Królestwa, nazywam się Aleksander Moszkowski, gnietli mię Moskale, pan Hirsch dał pieniądze, pojechałem z rodziną do Ziemi świętej, tam nikt z nas wyżyć nie może, więc wróciłem się do ziemi ojców, do Egiptu, siedzę lat 5, mam kram, i chwała Bogu nieźle mi się powodzi. Może pan pozwoli szabasówki«? Jak się tu oprzeć takiemu wezwaniu, chociaż upał 40-stopniowy, poszedłem z poczciwym żydkiem, wypiliśmy niejedno zdrowie, przekonałem się, że jego bachory, choć opalone, półnagie, jeszcze po polsku nie zapomniały, a na odjezdnem nawet pocałowaliśmy się z dubeltówki...

W lat 2 znów przez Zagazig przejeżdżałem, pytałem, co się dalej stało ze Skenderem. Nowy naczelnik stacji, z którym chwała Bogu rozmówić się można było, opowiada, że przeniósł się do Benhá, tam został sarafem (wekslarzem) i nieźle mu się powodzi...

...Przyjeżdżam do Suezu. Konsula austrjackiego nie ma, zastępuje go indywiduum nieznanej narodowości, raz wydające się za Francuza, to za Włocha, to za Dalmatyńca, indywiduum wstrętne, grubo podejrzane. Spekuluje na moją kieszeń, widocznie myśląc, że rząd bośniacki w obfitą zaopatrzył mię monetę, wykręcam się jak piskorz na piasku z łapczywych ataków tego pana i przypadkowo tylko dowiaduję się od niego, że żyje w Suezie jako kasjer kompanji kanału Polak nazwiskiem »Mosicanski«. Jakkolwiek mi się nazwisko polskiem nie wydawało, szukam rodaka i znachodzę starego wiarusa z 30-tego roku pana Moszczańskiego, który i do dziś dnia na chwałę narodu naszego za krajem pracuje. Poczciwy staruszek przyjął mię jak syna, zaopiekował się mną, ostrzegł przed zachłannością zastępcy c. k. austr. konsula, zajął się żoną, którą tutaj na dłuższy czas zostawić musiałem, obdarzył gazetami polskiemi, i zostawił wspomnienie niezatarte. I dziś żyje jeszcze staruszek z czcigodną małżonką swoją, a jak mi kol. Balko pisze, pociągając »okocimera« wspomina o kraju, w którym już od lat 60-ciu nie był...

...W lipcu 1893 r. znów tą samą drogą puszczałem się na morze czerwone. Żydka Moszkowskiego w Zagazig nie znalazłem, ze starym Moszczańskim nagadaliśmy się do syta wieczorami i nocami, i statkiem egipskim, należącym niegdyś do marynarki egipskiej, puściłem się na badanie cholery do Dżeddy, owej bramy Mekki, do grobu matki Ewy, gdzie znaleść miałem pielgrzymów bośniackich. Przy Ras Mahomed ostatnim punkcie półwyspu Synaj zaskoczyła nas niebywała burza. Z podartemi żaglami, z uszkodzonym sterem, z połamanemi masztami, po dwudniowej walce z rozhukanem morzem, zamiast do Dżeddy zawijamy do płytkiego portu na egipskiem wybrzeżu, Kosseir. Do portu tego zwykle żaden porządny okręt nie zawija, tu tylko w czasie pielgrzymki gromadzą się tłumy obdartych Egipcjan i Sudańczyków, by żaglowemi »sambukami« przecinając morze czerwone, unikając szykan władz i rad sanitarnych, dostawać się do Dżeddy i tą drogą znów wracać z Mekki. Parę tuzinów bud, szuwarem pokrytych, parę szynków, mały bazar, i oto cały Kosseir. Naprawa uszkodzonego okrętu trwać miała 3 — 4 dni, więc zabawiamy się łapaniem ryb na wędkę, włóczę się ze strzelbą po bagnach okolicznych, bijąc flamingi i kulony, gromadzące się tam w nieprzebranej ilości, zbieram raki i muszle, by bodaj w ten sposób zabić czas.

Było to jakoś drugiego dnia pobytu w Kosseirze, brodząc po kolana w ciepłej morskiej wodzie, zbierałem muszle, a krakowskim zwyczajem gwizdałem sobie krakowiaki. Naraz słyszę, że mi ktoś krakowiakami odpowiada, patrzę zdumiony w tę stronę i widzę postać w obdartym półeuropejskim, a półarabskim stroju, o szpakowatej brodzie, siedzącą opodal na belkach i łowiącą ryby. Chcąc uniknąć złudzenia, zaczynam gwizdać »Bartosza« sąsiad mi odpowiada, a więc zbliżam się, przedstawiam, i znajduję... Polaka. Niezepsutą polszczyzną opowiada mi, że nazywa się Szczerbowski, rodem z Kalisza, że służył pod Langie-

wiczem, wywędrował potem do Egiptu, że stracił służbę jako urzędnik pocztowy w Kosseirze za rządów angielskich, przeszedł na wiarę proroka, ożenił się z Arabką i żyje z połowu ryb i perłowych muszli, a do kraju wracać niema o czem i po co. Przesiedziałem z nim dni 4, polowaliśmy na ptactwo błotne, odkupiłem parę ładniejszych muszli, a co się z nim więcej dzieje nie mam wiadomości...

Oto 2 kartki z podróży i wspomnienia o 3 znalezionych Polakach. Znalazłem ich więcej w Małej Azji i Konstantynopolu, ale lepiej nie wspominać o nich. Indywidua wykolejone, po większej części wynarodowione, podejrzanej uczciwości, blagiery, czyhające tylko na obcą kieszeń, bynajmniej zaszczytu nam nie robią, a ze wstydem przyznać muszę, że ulicę polską na Perze w Konstantynopolu zamieszkują Polki z Wadowic, Podgórza, Rzeszowa i Jarosławia wywiezione przez żydowskich handlarzy żywym towarem, które chyba o tyle przyznają się do narodowości, że spotkawszy polskiego wędrowca w jakimś lokalu dopominają się o zafundowanie sznapy.*)...

Dr. Justyn Karliński.

6)

Gdy lipy kwitły.

Daleko pozostał za Gromskim ten świat dziecięcy i świat młodości, lecz teraz w cichem tchnieniu nocy pod przenikliwymi gwiazd oczyma powracał do niego i dziwne naszeptywał mary. Przecież nie dla jego rąk do innej pracy nawykłych, nie dla jego głowy ten prostaczy, ciasny byt przy ziemi; a jednak te głosy ziemi, to wołanie ojczystego zagonu, te echa dziecięce — ciągnie to ku sobie, to ma siłę wielką. W jego wieku ojciec miał już życie spokojne, pewne; zajmował już w swojem społeczeństwie miejsce, gdzie pracą pożyteczną swoim sferom i ziemi swojej służył; a on gdzie? a on na co i komu służy? Siłą swojej głowy dokonywa prac wielkich i nie lada znaczenie mających; lecz któż wie, czy praca ojca w skromnym zaścianku rodzinnym większej wagi nie była? Ojciec był prostym, nieuczonym człowiekiem, lecz gdyby syn ze swojem światłem miejsce jego zajął... Eh, mary, mary! Lecz wszakże jakoś inaczej, jakoś bliżej swoich życie urządzić można. W jego wieku ojciec miał jasne, ciepłe życie domowe; miał przy sobie wierną, rozumiejącą go towarzyszkę i pomocnicę w każdej pracy, a która nadto była pieszczotą jego serca i źrenicą jego oczu; a on co? jakie ma życie i co ma przed sobą?

Nigdy dotąd o ożenieniu się na serjo nie pomyślał, a wszakże wielki już czas zacząć poważniejsze życie. Czas jest, aby pustka i samotność, które tak dotkliwie nieraz go nękają, skończyły się wreszcie. Stoi przecie na takiem stanowisku, że może sięgnąć po to najrealniejsze i najistotniejsze szczęście, jakiem jest rodzina. Myśl ta wprawdzie nie była jemu obcą; od niejakiegoś czasu przychodziła doń nieznacznie, odchodziła i znów powracała; dojrzewało postanowienie, którego wprawdzie dobrze jeszcze nie obmyślił, lecz czuł, że dziś, czy jutro stanie się pewnością, jak jasność dnia. Powinien tu sobie wynaleźć żonę; tu — to znaczyło Ostroszczyty i sąsiedztwo. Tak, tylko w Ostroszczytach i sąsiedztwie; poza tem szukać nie będzie i nie trzeba.

I począł robić w myśli przegląd niewieściego świata, bawiącego obecnie w Ostroszczytach i okolicy.

Naturalnie, pierwsza nasunęła mu się Frania. Rzecz była w tem, że od dni kilku Frania magnetyzowała go formalnie oczami. Wyznała Wali zupełną prawdę: nic nie robiła — tylko duże swe wpółsenne oczy wlepiała w niego raz po raz uparcie i ciężko, aż począł się niepokoić, a potem również jej się przyglądać, a potem przysiadł się do niej i już z uśmiechem i świadomie zamieniać zaczęli wejrzenia, a dalej poszły śmiechy i rozmowy. Nie szukając i nie starając się znaleźć, jakoś zawsze znajdywali się razem, albo naprzeciw siebie i miał ją tak ciągle od kilku dni w oczach, że mu teraz ona pierwsza i wyraźniej, niż inne, stanęła w wyobraźni. Myślał o niej chwil kilka; przypominał sobie jej powolny, podatny, a chyba jak rozpalona smoła temperament — i te jej białe ramiona, opuszczające się jakby w miękkiej pieszczocie i kibić pełną i usta wilgotne, świeże, jakby proszące się o pocałunek Myśląc uśmiechał się i trochę roił, spoważniał wszakże, skoro słowo: żona przyszło mu na pamięć.

Nie ona — stanowczo nie! Od żony pragnąłby czegoś więcej, niż czarnych oczu i białych ramion. Żonę musi przedewszystkiem czcić i zarazem mocno kochać. Niekoniecznie powinna być piękną i niech tylko posiada wdzięk i poezję, które mu czynią kobietę najbardziej ponętną; niech będzie dobrą, ale nie za dobrą, aby słodycz

*) P. S. Polecam ich opiece X. Czermińskiego, obecnie rozbijającego się na Bałkanie i »Ruchu katolickiego«.

nie zabiła w niej duszy człowieczej, i niech będzie cichą, ale zarazem uczuć pełną i wrażliwą, jak naciągnięta struna harfy; niech ma jeszcze długie, płowe warkocze i uśmiech, co błyskawicą twarz rozjaśnia i modre, przejrzyste oczy z pytaniem zwracające się do świata i przejrzystą bladość twarzyczki i czoło jasne, które zamyślać się lubi.

Nie spostrzegł się, jak w marzeniu malował obraz Wali i tylko kiedy mu stanęła niemal widomie w wyobraźni, wstrząsł się przejęty przestrachem.

Ona? skądże ona? cóż mogłoby ich zbliżyć? Nie zechce go, nie zechce nigdy! Wszakże aż nadto wyraźnie go unika. On też pewno łask żebrać nie będzie. Ona? — Nigdy. Lecz może dla tego, że nigdy, jest tem milszą, tem pożądańszą.

Spostrzegł się, dziś zaledwie, że myśli o niej częściej i dłużej, niż o kimkolwiekbądź; że jeśli dłuższy czas jej niema, a wejdzie nagle do pokoju, to jest mu tak, jakby opłynęło go światło słoneczne w dzień słotny i zimny; że mógłby patrzeć na nią godzinami i nigdy nie mieć dość jej widoku, a jeśli jej nie widzi, to słuchać o niej co najwięcej. Spostrzegł, że zna i nauczył się już kolei wszystkich jej zajęć i upodobań i chociaż z nią nie jest, wie kiedy idzie na folwark, kiedy do pasieki, a kiedy do wsi; zna tę chwilę o zmroku, kiedy siada do fortepianu »tak, aby nikogo nie było«, i on wówczas, jak student, zakrada się na werandę, słucha i z tonów duszę jej odgaduje, a nie oddałby tych tonów za wszystkie melodje świata.

Ale to wszystko nie dla niego. Miał kiedyś ją bliską i chętną sobie, i taką szczerą jak dziecię — ale to już minęło — i na zawsze; widzi to przecież jasno. Dziś, może być tylko wizją zaczepioną za chmury, nieuchwytną i daleką — na kolanach przecież modlić się do niej nie będzie na darmo. Trzeba więc oczy zwrócić gdzieś indziej...

Lecz czy mu to się zdaje, czy dzień już nastaje? Wierzchołki drzew w ogrodzie czerwienieć zaczynają. Przesiedziałże tak całą noc na rozmyślaniu? Lecz jakoś to za różowo, jakoś niezwykle... Coraz szerszy odblask roztacza się po gąszczu wierzchów i listek każdy zaczyna migotać jak w złocie. Co to się dzieje?

Powstał zaniepokojony, gdy uszu jego doleciał odgłos gdzieś z pośpiechem drzwi otwieranych, jednych, drugich, a potem stąpania szybkie, a wkrótce zatem nawoływania, stuk, tentent wyprowadzonych koni, gwar i zamęt, jakie przy nagłym wypadku zwykle mają miejsce.

Gdy Gromski wypadł z ogrodu na dziedziniec, spostrzegł wszystkie krzewy, ganek, topole, zalane odblaskiem łuny, która z nad dachu stajen i obór rozpływała się czerwono po ciemnem niebie; w blasku spostrzegł już czarne sylwetki osób, które w największym popłochu kręciły się po folwarcznym dziedzińcu i dokoła stajni. Niskie dachy zabudowań dworskich odcinały się na jaskrawem tle czarnemi linjami, a z boku podnosił się poważnie w całej swej ciężkiej masie czarny korpus starego lamusu. Z trzaskiem spadła żelazna u drzwi zapora i na ganek wypadł zaledwo czemś pokryty pan domu.

— Gdzie się pali? — krzyknął z miejsca w stronę folwarcznego dziedzińca. Tubalny głos ekonoma odkrzyknął zaraz:

— Odrynka, panie!...

I zaklął na kogoś jakiemś straszliwem zaklęciem, a wnet i psy naszczekiwać i wyć poczęły, zwiększając gwar folwarku.

Odrynka stała na łąkach, dość odlegle od dworu, niebezpieczeństwa przeto nie było żadnego; dziedzic wszakże i ekonom mocno byli zmartwieni, bo było świeżo po sianokosie i odrynka do wierzchu sianem była nabita. Wszystko co się zbudziło, biegło na miejsce wypadku; Gromski także za innymi pospieszył.

Kiedy przechodząc dziedziniec, przecinał ścieżkę wiodącą od bocznego ganku ku oficynom, nagle posłyszał za sobą lekki szelest.

Obrócił się.

(D. c. n.)

Wanda Dalecka.

Błędy językowe.

Wadliwem jest wyrażenie: „Na rzecz dotkniętych przez nieurodzaj“; powinno być „dotkniętych nieurodzajem“.

Nie mówi się: bierze dymisję (prend sa demission), ale podaje się do dymisji.

Z pism i książek.

Wyszła z druku *Teorja ekonomji politycznej* Władysława Domańskiego.

Książka ta, wydana przy pomocy kasy im. Mianowskiego, na 142 stronicach traktuje o własności, konsumcji, kredycie, produkcji, handlu i podziale bogactw.

„*Bulletin Polonais*“ z dnia 15. sierpnia zawiera: Allocution du Dr. K. Lewakowski. — Mémoires du général Szymanowski. — Variétés littéraires (Questions politiques, par E. Faguet), artistiques, scientifiques et politiques. — Nouvelles diverses (Ecoles polonaises etc.) Nécrologie.

Adres: M. C. Dobrzycki, 2, rue Bridaine, Paris. Cena w Paryżu: 6 fr. rocznie.

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.